

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

16

W ciemnawe wnętrze sklepiku wchodzący wpadał, jak w oichłań i zatrzymywał się przed nie grzeszącą czystością ladą, na której stały wagi, słoik z rozlepionymi, różnokolorowymi cukierkami i flaszka z czerwonym sokiem.

Charakterystyczną cechą owego składu „różnych towarów” stanowiło obecnie to, że wszelkie zapowiadane przez szyld towary świeciły nieobecnością, albo też znajdowały się w minimalnej ilości. Przynajmniej na widoku.

Bo klienci Gelbfisza, rekrutujący się przeważnie z najuboższej ludności, mówili sobie nie raz o tem, że sklepikarz pono posiada bogate zapasy mydła, nafty, cukru, kawy, herbaty, kasz, mąki i sprzedaje te towary potajemnie tym, którzy mu podwójną, lub potrójną, czy nawet poczwórną cenę płacą.

Ktoś się dowiedział, że Gelbfisz w pobliskim mieście powiatowym kupił kamienicę na imię swojej zamężnej córki, a teraz targuje dom w Łykowie — w samym rynku.

Świadczyłoby to o niezłych wcale dochodach pana Goldfisz, który zresztą, jak to już wszystkim było wiadomem, oprócz prowadzenia sklepiku miał jeszcze inne poboczne, stałe, a intratne zajęcia.

Mianowicie pożyczal pieniądze na zastawy. Zamożności jednak nie było widać po Gelbfiszu. Chałał miał zawsze ten sam stary, brudny, podarty, zafluszczone, a na wzmiankę o swoich interesach robił bolesną minę i żałośliwie kiwał głową.

— Żeby moje wrogi miały takie czasy — mówił, wdychając ciężko raz po raz. — Niech one robią takie interesy... Ja przez tę wojnę to jestem ganz plaitel... Jaki teraz interes?... Jaki handel?... Co sprzedawać?... Jak sprzedawać...

I wymownym gestem wskazywał ręką na prawie że puste pułki swego sklepu.

U Gelbfisza istotnie nie można było obecnie nic dostać oprócz wody sodowej, soli, zapalek, drobiazgów niektórych i mydła, równie lichego jak drogiego.

To też często powtarzały się tam dyalogi, podobne do tego, jaki w tej chwili Aron Gelbfisz prowadził z kobietą w brudnej perkalowej bluzce i zafluszczonym fartuchu...

— Drożdże są?
— Niema.
— A kiedy będą?
— A czy ja mogę wiedzieć?
— Ale czy będą?
— Ja powiadam, co teraz nie można nic wiedzieć!...

— To dajże pan nafty na dwie kartki.
— Pani Kociatkowa, czy pani „umi” czytać?
— A pewnie, że umiem! Cóż za takie gadanie!...

— Nu, to dla czemu pani nie przeczytała tę kartkę, co sobie wiszi na drzwi jak wół?... Tam stoi napisane jak kuś: Nafta wisza!...

— A bodaj ciel... A ja już ani kropki nie mam, a robota pilna, pranie!... Co ja zrobię!

— Co ja na to mogę poradzić? Ja sam po czymki szedzę!...

— A żebyś tak z nosem był, żydzie, hyclul — mruczała pod nosem Kociatkowa, wychodząc.

W progu zetknęła się z jejmością o pokaznej tuszy i szerokiej, bardzo energicznej twarzy.

— Panie Gelbfisz, cukru na trzy kartki!...

— Pani sobie dobra, a skąd ja mam miecz cukru... Ja nie mam żaden cukier... Tam wiszi kartka: cukier wisprzedany!...

Ale energiczna jejmość nie chciała tak łatwo ustąpić.

— I znowu cygaństwo. Kiedy ten cukier wysprzedany i kto go kupił?...

— Ten, co kupił, to kupił!...

— Przecie wczoraj do pana pełen wóz cukru przywieźli! Na własne oczy widziałam!... Ja się tak ćmić nie pozwolę!... Albo pan cukier dajesz, albo ja dam znać do magistratu, do policyi, do „kumendy”!...

Jejmość coraz bardziej podnosiła głos i groźnie wymachiwała rękami.

Minę miała zdecydowaną i nie trudno było się domyślić, że nie cofnie się przed awanturą.

Do sklepu weszło tymczasem kilka osób, które z zajęciem poczęły się przysłuchiwać.

Żyd nagle poglądził swoją długą brodę, nachylił się ku zirytowanej klientce i szepnął jej do ucha.

— Pani Machalska, pani nie potrzebuje bicz taka w gorące wode kapana, pani nie potrzebuje tak krzyczeć... Ja cukier nimam, ale dla pani to un się zrobi... Ja pani oddam to, co ja sobie zostawiłem dla moje dzieci... Tylko niech pani przyjdzie za godzinę!...

Ułagodzona i zadowolona, pani Machalska wytoczyła się ze sklepu z tryumfującą miną.

— Jest mydło? — zapytała inna klientka, mizerna kobiecina o wielkich, zapadłych oczach, ubrana ubogo, ale bardzo czysto.

— Midło? Midło jest. Ja już miszlał, co jego nie będzie, ale uno przyszło!...

— A dobre?

— „Fajn” midło, pierwszy sort!

— Drogie?

— Dwadzieścia cztery korony kilo — odpowiedział spokojnie Gelbfisz.

Kobiecina załamała spracowane, od prania wygryzione ręce.

— Zmilujże się pan, panie kupiec, dwadzieścia cztery korony! Jeszcze przed niedzielą kosztowało szesnaście!...

— A za tydzień, to uno będzie kosztowało trzydzieści! — brzmiała flegmatyczna odpowiedź.

— Dlaczego tak?!

— A to pani nie wie, co teraz wojna i ceny to sobie skaczą, jak same chcą... Ja, żebym tak był zdrów, jak na każde kilo tego „midła” dołożę pięć koron!... To jest zarobek, ładny zarobek, żeby un nogi połamał, taki zarobek!...

— Ale!... — wtrąciła niedowierzająco jakaś inna kobieta.

— No, to dajże pan choć z pół „fonta”... Co robić... Przecie człowiek, jak pranie bierze, to uprać musil!...

Gelbfisz podszedł do półki, zatopił nóż w żółtoszarej lepkiej, gliniastej masie i odkrajał z niej kawałek.

— To jest to mydło?!

— Nu, to.

— Za takie drogie pieniądze taka glina, że już inaczej nie powiem... To mydło się ani „pianić” nie chce.

— Pani tego nie powiedz. To jest najlepsze wojenne „midło”. Lepszego nie egzystuje! Ja pani powiem, pani bierz, bo za dwa tygodnie to jego całkiem nie będzie!... Co dla pani — zwrócił się do innej kupującej. — Herbatę?... Herbatę niema!...

Przymocowany u drzwi wchodowych dzwonek zadzwieczał znowu i do sklepiku weszła tęga, hoża, rumiana wieśniaczka, w barwnym stroju ludowym.

Niosła ręczny koszyk z przykrywką. Przykrywką odstawała nieco, śnać koszyk był dobrze wyładowany. Z wnętrza jego dobywał się pisk kurcząt.

— Panie kupiec... — zaczęła.

Gelbfisz spojrzał na nią bystro i mrugnął porozumiewawczo jedną powieką.

— A to wy, gospodyni... Poczekajcie no!... — I głośno zawołał:

— Reginkiel!...

Kretonowa, kwiecista, przybrudzona firanka, oddzielająca sklepik od prywatnego mieszkania Gelbfisza, uchyliła się.

Odrzuciła ją młoda dziewczyna o kruczonych, kędzierzawych włosach, czarnych jak noc. sprytem fryskających oczach i o śniadej, przystojnej twarzy.

Była to córka Gelbfisza, Reginka, ulubienica jego, powiernica i, jak ją sam nazywał, „prawa ręka” w interesach.

Czarne spłoty dziewczyny były przetkane łupieżem i uczesane nieporządnie, ale pretensjonalnie i pospinałe błyszczącymi grzebieniami i szpilkami. Spódnica strzępiła się dołem, była poplamiona i zmięta, ale bluzka, z cienkiej materii, miała najmodniejszy krój z marszczoną, wyrzucaną „baskiną”.

— Tate mnie wołał? — zapytała.

Ojciec wskazał jej wzrokiem wieśniaczkę z koszykiem. Dziewczyna skinęła głową i dała znak kobiecie, by poszła za nią.

Zniknęły obie za firanką.

Miedzy zebranymi w sklepie kupującymi kobietami przebiegł szep:

— Przyniosła „pocztę”!...

— Kurczęta, masło, jaja!...

— Za to dostanie cukru, kawy, nafty... Jak za „pocztę”, to się znajdzie wszystkol!...

— Psiakrew, cholera — taka gospodarka!... Znowu dzwignęła dzwonek. Ukazała się kilkunastoletnia bosa dziewczynka, dzwigając spore zawiniątko.

— Proszę pana, mama to przysłała na zastaw i prosi, żeby pan!...

Gelbfisz nachmurzył się i przerwał jej:

— Poco panna tędy? To panna nie wie, że tu sklep!... Jak jest interes, to od tyłu!...

Dziewczynka strwożona, zmieszana umilkła, a sklepikarz zawołał:

— Reginkiel!...

Za chwilę dziewczynka z zawiniątkiem wsunęła się za firankę.

Gelbfisz dalej załatwiał klientów, najczęściej ku bardzo miernemu ich zadowoleniu.

— Proszę pana za pięć cukierków! — dzwignęła dziecięcą głosik i ku ladzie wysunęła się mała piastka, z zaciśniętą w niej dziesięciohalerzową monetą.

— Za pięć niema żadne cukierki. Za piętnaszcze najmniej!...

Do jasnych, dziecięcych oczu, napłynęły łzy i mała rączka opadła bezradnie.

— Panie, „brykiety” są?

— Niema!

— A węgiel jest?

— Co pani potrzebuje robić żarty!... Skąd węgiel?... Gdzie węgiel?... Jaki węgiel?!

— Panie Gelbfisz weź se pan z powrotem to świstwo, coś mi pan sprzedał za herbatę!... To tak śmierdzi, że do gęby wziąć nie można!... Oddaj pan moje pieniądze!...

— Co się pani tak rzuci?! Jakie pieniądze!... Ja pani sprzedał towar, jaki ja miał!... Pani nie dzecko!... Ja pani nic nie oddam!...

Wszczęła się awantura, ale żyd trzymał się twardo, nie ustąpił. Wkońcu oszukana klientka wybiegła ze sklepu, trzasnąwszy drzwiami i kląć głośno.

— A żeby cię za moją krzywdę pokreśliło, ty chorobo, gudłajul!... Poczekaj!... Ciągniesz ty, ciągniesz, ale przyjdzie na ciebie koniec!... Ino się tej złości w ludziach nabiera!...

W sklepie panował ciągle żywy ruch. Jedni wchodzili, inni wychodzili, drzwi się prawie nie zamykały.

A Gelbfisz ważył, krajał, zawijał, brał pieniądze — najczęściej jednak powtarzając:

— Niema!... Co ma być? Skąd ma być?...

Po kilkunastu minutach zza firanki ukazała się czarna głowa Reginki.

— Tate, kim!

Ojciec obrócił się ku niej.

— Wus is?

Dziewczyna podeszła do ojca i coś mu szepnęła do ucha.

Gelbfisz ściągnął swoje krzaczaste siwe brwi, poglądził brodę i wyszedł do mieszkania, pozostawiając w sklepie Reginkę.

Pokój, do którego wszedł Gelbfisz, miał krzywy, szerniały sufit, szare ściany, zasłute po kątach pajęczyną i jedno okno, wychodzące na brudne podwórze i przeciwległy odrapany mur.

Przez to okno, nie odznaczające się zresztą wcale wyrafinowaną czystością, dosyć skąpo sączyło się światło i padało wprost na elegancką postać pana Potyrowskiego, który siedział na przepaścistej, tureckiej, pluszowej otomanie z wysokim oparciem i rzeźbioną, połamaną galeryjką.

Otomiana ta, porządnie już zębem czasu szarpięta, pamiętała śnać lepsze czasy i inne zupełnie otoczenie, a kupiona była prawdopodobnie za bezcen na jakiejś licytacji.

Obecnie przygarbiona, zniszczona, z galeryjką, grożącą upadkiem, melancholijnie zdawała się spoglądać na kwiecistą, perkalową firankę, stół, przykryty brudną, zieloną serwetą z dużymi frendzlami, pulkę, pełną fajansowych talerzy, na srebrne, wysokie świeczniki i portret Montefiorego na ścianie.

Potyrowski co chwila podnosił do nosa silnie uperfumowaną chusteczkę, chcąc widocznie zneutralizować przykry zaduch, jaki panował w mieszkaniu Gelbfisza.

Ostre, specyficzne zapachy kuchenne mieszały się z odorem potu ludzkiego i „wonią” źle upranych pieluch.

Powietrze było ciężkie, przepełnione krztuszącym pyłem, jak zwykle w siedzibach ludzkich, gdzie mieszka dużo osób, a które rzadko się przewietrza i zamało czyści.